

# Daleko do Ameryki

— z Japonii

*Tokimasa Sekiguchi, professor of Polish literature in Tokyo, who, like Mykoła Riabczuk, has chosen to write his essay in Polish, believes that the majority of Japanese intelligentsia feels enormously distant spiritually from America. Born near the end of the allied occupation, the author describes the experiences of his childhood in post-war Japan. His absent mother was fascinated with Europe and with Japanese tradition and became a professor of "chanoyu" (tea-ceremony). His father, charged with raising him, cooperated with the Americans. He himself belongs to a generation that senses chaos in its system of values and feels a loss of cultural identity, to a generation shocked to learn in the 1980s of an all-encompassing censorship that had functioned in post-war Japan under American patronage. For years, "barbaric" and "ideologically dangerous" references were eliminated from Japanese literature, and, in their place, the slogan "American film, the source of culture" was propagated. Nevertheless, Americanization took hold only in the area of consumption. Yet Sekiguchi sought inspiration not in America but in Europe and Japan, and today he is in solidarity with the ideological choices of his mother. His generation and he have, however, embarked on a tumultuous past into an unknown future. He concludes: "The Statue of Liberty, if it now and then fulfills the function of a lantern, remains blurred to our eyes, and even if from time to time its lofty silhouette should appear, it is only a sarcastic caricature which we smile at with growing indulgence, in spite of our destiny written as it is on the water."*

Mój ojciec miał sklep w dzielnicy Ueno i handlował importowanymi towarami. Pamiętam smak suszonych owoców – bananów, śliwek, moreli – i czekoladek Hershey's, Milky Way. Sklep znajdował się na bazarze Ame-yoko pełnym kolorów i aromatów. Słowo *Ame-yoko* jest skrótem *Ameya-yokochō* i oznacza uliczkę z cukierniami; ale już w latach pięćdziesiątych kojarzono tę nazwę bardziej z Ameryką niż z tradycyjnym, pachnącym minioną epoką wyrazem *ameya*: cukiernia. W jednej części targowiska oferowano produkty japońskie; drugą, cieniłą stronę stanowił zatłoczony kramikami labirynt, który ciągnął się pod torami kolejki elektrycznej. Pod torami, bo wschodnia połowa obwodnicy kolejowej Tokio biegnie wysoko, na poziomie pierwszego piętra i przestrzeń pomiędzy ziemią a torami jest na różne sposoby wykorzystywana. Ów labirynt wypełniały egzotyczne towary zagraniczne: kawa, „czarne” herbaty, konserwy z owocami, puszki *corned-beef*, amerykańskie papierosy, odzież, perfumy, biżuteria. Była tam, i chyba przetrwała do dziś, atmosfera powojennego chaosu, gorączkowa werwa, posmak czarnego rynku, który spontanicznie powstawał na zgłiszczach miasta, wokół baz wojsk okupacyjnych i klubów dla amerykańskich żołnierzy.

Właśnie tam był sklepik ojca. Przesuwając się wąziutkimi przejściami dotykałem tajemniczych kształtów, widziałem fantastyczne napisy, literki, obrazki. Świat *Ame-yoko* należał raczej do East End'u Tokio. Wszystko było tu tanie. Podejrzanie tanie. Ten świat różnił się od eleganckich domów towarowych nie tylko hurtowymi cenami, ale także aurą podziemia: sporą część handlu

stanowiły nielegalne transakcje zawierane z żołnierzami sił okupacyjnych.

Ojciec zdaje się biegle mówił po angielsku. Zwłaszcza wtedy, kiedy był pijany, lubował się w wystrzeliwaniu slangowych zwrotów z mocnym akcentem amerykańskim. Nienawidziłem tego. Widok nietrzeźwego ojca i dźwięk tych zaklęć w końcu wygnały mnie z domu.

Gdzie opanował angielski, skoro długo był to język niemal zakazany, a studia na wydziale nauk polityczno-ekonomicznych, które ojcu przerwała wojna, nie mogły mieć pod tym względem znaczenia? Musiał się nauczyć na żywo, od Amerykanów z bazy. Te doświadczenia prawdopodobnie wryły na ojcu swoje piętno, bo nawet w oczach dziecka różnił się od innych dorosłych. Ale czym? Sposobem ubierania się? Gestykulacją? Tak czy owak znajomość angielskiego i koneksje z okupantami pozwoliły mu zacząć interes i prosperować jako kupiec.

Wtedy urodziłem się. Pod koniec okupacji, która formalnie trwała do kwietnia 1952 roku. Dla starszych ode mnie, pamięć o obecności okupantów, a raczej pierwszy szok wtedy doznany został utrwalony głównie w obrazie nonszalancko zachowujących się roślących żołnierzy amerykańskich, zwanych GI, bez przerwy żujących i plujących gumą, razem z przyłgniętymi do nich dziewczętami lekkich obyczajów, *panpan*'ami, i w widoku zawrotnego bogactwa materialnego, jakim, zdawało się, emanowały sklepy PX, *post exchange*, i wszystkie miejsca, gdzie przebywali Amerykanie, kiedy dookoła były jeszcze głód i nędza.

Ale ja nie zachowałem takich scen w pamięci. Nie znam takiego Tokio. Ani plaży lub wagonów rozdzielonych na części dla aliantów i dla Japończyków z czasów, kiedy nawet przedstawienie teatru *kabuki* było zakazane z tytułu „feudalności”, „barbarzyńskości” i „niebezpiecznego” charakteru tej sztuki. Opowiadania Ōe Kenzaburō z lat pięćdziesiątych, takie jak *Zdobyc* i *Ludzie-owieczki*, czytałem jak bajki z dalekiej przeszłości.

\* \* \*

O cenzurze sprawowanej przez aliantów dowiedziałem się dopiero na początku lat osiemdziesiątych, jak zresztą większość Japończyków. Był to dla mnie wstrząs i zarazem olśnienie. Oczywiście pokolenie rodziców pamiętało cenzurowanie listów, ale prawie nikt nie wiedział o działaniu cenzury na wielką skalę w prasie, wydawnictwach, radiu i filmie. Była to cenzura niewidzialna. Nieujawnianie jej istnienia było zasadą działania Sztabu Generalnego Sił Alianckich i aby tę politykę wdrożyć, stosowano cenzurę prewencyjną; po roku 1948 stopniowo wprowadzono metody represyjne i jednocześnie zabroniono wzmiankowania o działalności cenzorów. Aliancka, *de facto* amerykańska cenzura nie tylko zabraniała wszelkiej krytyki wobec aliantów, ale również eliminowała z mediów i literatury wszystko to, co objawiało japoński patriotyzm lub wyrażało pozytywną ocenę tradycji naro-



Rafał Olbński

dowej. To z kolei z powodzeniem wzmagало u Japończyków, po totalnie przegranej wojnie, tendencje do samokrytyki, często do całkowitej negacji wszystkiego, co „stare” i „japońskie”. Z chwilą, gdy otworzono archiwa, obraz literatury japońskiej – nie tylko z okresu okupacji, ale i powojennej – zaczął się chwiać i zmieniać. Ze zdumieniem czytałem ocalałe oryginalne wersje utworów znakomych autorów, jak Nagai Kafu, Yanagida Kunio, Ozaki Shirō, Yoshida Mitsuru, Kawamori Yoshizō. Ich teksty były albo nieznanne, albo radykalnie różne od tych, które do tychczas znaliśmy.

Był to szok podwójny, bowiem okazało się, jak niekompletna była moja wiedza o nieodległej przeszłości i jak naiwna była nasza wiara w „demokratyczną” i „liberalną” politykę Amerykanów.

Cenzura była, co ważniejsze, naprawdę skuteczna: uruchomiła swoją następczynię – autocenzurę, skąd już tylko krok do uwewnętrznienia tej samokontroli. Był to jednak tylko jeden element olbrzymiego splotu zagadnień, jaki pozostawiła nam okupacja i dalszy proces przenikania polityki i cywilizacji amerykańskiej – by wspomnieć reformę rolną, która w sposób na wpół socjalistyczny obalając system ziemianin-dzierżawca całkowicie zmieniła strukturę wiejskiej społeczności i krajobraz archipelagu; reformę szkolnictwa, poprzez którą szkolnictwo średnie i wyższe przekształcono z systemu elitarnego, jak w Europie, do egalitarnego systemu masowej produkcji studentów; powstanie nowej, najbardziej na świecie idealis-

tyczno-pacyfistycznej konstytucji oraz japońsko-amerykański pakt bezpieczeństwa, który wznicił nie tylko ruchy lewicowe studentów i robotników, ale również antyamerykańskie nastawienie szerszej społeczności.

\* \* \*

Przypuszczam, że o ile dla ojca jedyny bezpośredni kontakt z obcą kulturą stanowiło owo obracanie się w środowisku GI, moja matka zawsze była zwrócona bardziej ku tradycji i przyciągała ją raczej Europa. Kiedy jeszcze propagowano hasła „film amerykański źródłem kultury” i organizowano w całej Japonii pokazy szkolne filmów amerykańskich, matka z wypiekami na twarzy oglądała filmy francuskie, włoskie, angielskie i rozczytywała się we francuskich powieściach.

Rozstałem się z matką wcześniej: po prostu pewnego dnia wyszła z domu i już nie wróciła. Osamotniona, zaczęła na nowo kreować własne życie – uczyła się *chanoyu*, tak zwanej *tea ceremony*, u Tody Sokana, jednego z mistrzów tej sztuki i po latach żmudnego terminowania uzyskała tytuł *jun-kyōju*, profesora zwyczajnego w polskiej hierarchii. Była więc nieobecna przez cały okres mojego dorastania i nie miała na mnie duchowego wpływu, a jednak jedyną rzeczą, której byłem w pełni świadomy już jako przedszkolak – i potem do dziś dnia – było przekonanie, iż matka powinna była tak postąpić.

Owszem, fascynowały mnie filmy Disneya, musical, jazz, ogromnie przejęty czytałem Scotta Fitzgeralda, Faulknera, Salingera, Steinbecka, Mailera, Henry Millera, ale jakoś ciągle było mi do Ameryki daleko. Podobnie jak matka, miałem twarz zawsze zwróconą ku Europie i ku przeszłości swego kraju. Kulturę amerykańską konsumowałem, lecz nie odczuwałem potrzeby poznania producenta towaru.

Niewątpliwie Ameryka dostarczała nam nieustannie oprócz towarów różnorodne nowe bodźce i informacje. Ale były to **zjawiska** ukazujące symptomy naszych schorzeń współczesnych, a rzadziej triumfy nad problemami. Ja szukałem **źródeł**. Jeśli chciałem pojechać do Europy, to właśnie w poszukiwaniu źródeł i idei, nie zjawisk. Wstępując na uniwersytet wybrałem romanistykę, potem pojechałem na staż stypendialny do Krakowa, w Tokio zacząłem wykładać literaturę polską, tłumaczyć ją i pisać na jej temat. To już jest życie pod znakiem Europy płynące. A korytem nurtu jest Japonia, którą też kiedyś wybrałem sobie z własnej woli.

Taki życiorys nie jest odosobnionym przypadkiem. Niemal wszyscy dookoła, przynajmniej moi przyjaciele, a możliwe, że większość inteligencji japońskiej, chyba podobnie odczuwają swój stosunek do Ameryki i Europy.

„Czyż jednak nie zamerykanizowano Japończyków?” – pytają z zaskowaniem ci, co w przelocie odwiedzają nasz kraj. W dziedzinie konsumpcji – być może, ale nie w głębszej warstwie. Mimo różnego rodzaju „reform”, amerykański duch nie przyjął się na gruncie japońskim

ani w polityce, ani w biznesie, ani w edukacji. Mimo udanego zniszczenia wczorajszych marzeń Japończyków, chyba nie udało się im wszczepić *American dreams*. A zarazem wciąż nie ma nowego modelu życia dla „nowego Japończyka”, system wartości dalej się trzęsie, chwieje i rozkłada. Zamieszanie trwa. Realny jest jedynie ów chaos, najboleńszą rzeczywistością jest dezorientacja, utrata tożsamości kulturowej. Jeśli w Polsce do znudzenia powtarza się hasło o jej powrocie do Europy, w Japonii jest nieco inaczej: nie mamy dokąd powrócić.

Srogą zimę 1980 roku spędziłem w New Haven w Connecticut. Był to przyjemny i owocny pobyt; poznałem ludzi interesujących i życzliwych i wiem, że będę się wybierał do Ameryki jeszcze nie raz. Odwiedziłem także inne miasta: Boston, Chicago, Nowy Jork, San Francisco, Seattle. Ale podróże te zasadniczo nie zmieniły mojego obrazu Ameryki.

Często przychodził mi do głowy „trójkąt”, którego wierzchołki stanowią Ameryka, Japonia i Europa. Amerykę i Europę często określa się w Japonii jednym mianem: *ôbei*, albo *seiyô*: świat zachodni. Obserwowałem, jak zmieniały się długości poszczególnych boków trójkąta, zależnie od porównywanej dziedziny i upewniałem się, jak ogólnikowe pojęcie – *seiyô* – może być mylące. Choć pod pewnymi względami Japonia różni się od innych cywilizacji, niektóre aspekty jej kultury mają więcej wspólnego z Europą niż Ameryką. Oczywiście można trójkąt zmienić na wielokąt dodając inne wierzchołki: Chiny, Rosję, Indie... Świat jest naprawdę skomplikowanym wielokątem, którego kształt zmienia się według kąta widzenia. Taka dychotomia, jak Wschód i Zachód, jest tylko śmiechu warta najczęściej.

Było mi daleko do Ameryki, i jest ciągle daleko, jeśli nawet nie dalej niż kiedykolwiek.

Czyż tego samego nie mógłbym odnieść do całej mojej generacji? Bo zdaje mi się, że daleko już wypłynęliśmy na głębiny oceanu. I jest to rejs bez mapy, bez portu docelowego. O powrocie do portu macierzystego także nie ma mowy. Statua Wolności, jeżeli kiedykolwiek pełniła funkcję latarni, też jest już całkiem zamglona w naszych oczach, a nawet gdy od czasu do czasu ukazuje się jej wyniosła sylwetka, to tylko w karykaturze sarkastycznej, do której coraz pobłażliwiej się uśmiechamy, mimo tego naszego losu na wodzie pisanego.

### Tokimasa Sekiguchi

T.Sekiguchi, associate professor of Polish literature at Tokyo University of Foreign Studies, is a writer, editor and also a translator of Polish literature into Japanese. His works include *Mały słownik polsko-japoński*, a Polish-Japanese dictionary (co-author, 1981), and such translations as Jarosław Iwaszkiewicz's *Matka Joanna od Aniołów* (1971), Stanisław Ignacy Witkiewicz's *Kurka Wodna* (1991), and Jan Kott's *Przyczynek do biografii* (1994). He is now at work on the translation of several chapters of Czesław Miłosz's *Historia literatury polskiej*.

## Piękna Ameryka

### Mity Ameryki wśród Polaków

*In the opinion of Marek Skwamicki, a well-known Polish publicist, the myth of the American shoe-shine boy getting rich occasionally does come true. It only remains a myth for those who don't succeed. As for the myth of freedom, it is a concept in actual practice in the U.S. A true picture of America also includes the beauty of its landscape and of its natural wonders. According to the author, disappointment with America is caused by the type of myth that immigrants, for example, bring with them. Uneducated Polish peasants and workers who settled in America did not fear as a rule the myth of hard work. On the other hand, newer immigrants raised under communism often expected unreasonably more generous help from America as a kind of compensation for their "suffering." The newest immigrants, Polish scholars and professionals, generally prosper in the U.S. and realize their dreams. For Skwamicki, the cult of youth is also an important ingredient of America. What is disturbing is the growing gap between the idealism of public declaration and the cynicism of foreign policy.*

Trudno powiedzieć, czy i jakim mitem Ameryki żywią się moja wyobraźnia i uczucia. Dysponuję wiedzą o Ameryce zaczerpniętą nie tylko z lektur i filmów, lecz i z licznych pobytów w USA. Po drugie, co jest mitem, a co rzeczywistością amerykańskiego życia, niełatwe jest do zdefiniowania. W wypadku komunizmu wiadomo, że jego mitologia nie ma nic wspólnego z rzeczywistością; w przypadku zmitologizowanych wyobrażeń, jakie Amerykanie tworzą na własny temat, jest inaczej. Mit o czystości stającym się bogaczem wśród drapaczy chmur Manhattanu pozostanie mitem, gdy się komuś nie powiedzie; jednak wielu „czyścibutom” się udało lub pną się wzwyż po skalistym zboczu dobrobytu. Dla nich mit staje się ich życiem. Dodać wypada, że już na niższych stopniach możliwości można się czuć człowiekiem poniekąd lepiej usytuowanym aniżeli jest się nim naprawdę. Zwłaszcza w wypadku imigrantów z krajów zacofanych cywilizacyjnie, owo poczucie bycia kimś, komu zaczyna się powodzić, może się pojawić z chwilą kupna pierwszego, używanego samochodu, którego karoseria, udział w wielkim ruchu, pomnożenie możliwości korzystnych zmian pracy i narciotycznie działająca przestrzeń kontynentalnych highwayów, już czynią z człowieka zadowolonego z siebie i kraju Amerykanina.

W podobny sposób można rozważyć kwestię wolności ludzkiej. Mówi się, że jest ona jednym z elementów mitu Ameryki. Nie jest jednak mitem zawsze, a może i całkowicie nim nie jest. Poza koniecznymi ograniczeniami tej wolności na rzecz wspólnego dobra, całego czy lokalnego społeczeństwa, zakres wolności w USA jest wielki. Może o tym zwłaszcza powiedzieć przybysz z krajów totalitarnych i posttotalitarnych. Tym, co go uderza w czasie pobytu w USA, jest dziwne poczucie osobistego bezpieczeństwa: nie zabezpieczenia przed kryminalistami, lecz bezpieczeństwa ze strony władz państwowych. Policjant w Stanach nie budzi lęku jak w krajach policyjnych; nie ma w USA obaw przed urzędnikami. Jest